

Martin Meyer-Renschhausen

Enno Meyer prywatnie – wspomnienia najstarszego syna

Gdy myślę o swoim ojcu, widzę go siedzącego przy biurku, w jadalni na swoim stałym miejscu przy stole, w salonie z moją matką i nami, dziećmi, albo pracującego w ogrodzie z nieco zmierzwionymi włosami. To były role, w których go widziałem. Odgrywał także inne – nauczyciela, naukowca, członka Towarzystwa na rzecz Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej. Gdy byłem dzieckiem i młodzieńcem, dowiadywałem się o nich przypadkiem tylko co nieco.

Przebieg dnia

Dzień mojego ojca był całkowicie uporządkowany. O 6.30 dzwonił budzik, który budził wszystkich w domu. Przed naszą pobudką ojciec z reguły już od godziny lub dwóch był w trakcie lektury, bowiem najczęściej wstawał bardzo wcześnie. O 7.00 jedliśmy śniadanie. O 7.30 ojciec, troje rodzeństwa i ja wychodziliśmy do szkoły. Tata nie chciał, byśmy chodzili do jego szkoły. Nie zamierzał stale rozmawiać na temat swoich dzieci.

O 13.15 był obiad, następnie ojciec udawał się na poobiednią drzemkę do swojej pracowni. Potem, jeśli pozwalała na to pogoda, pracował trochę w ogrodzie, a o 15.30 były kawa i ciastka. Następnie do 19.00 siedział przy biurku. Po kolacji o godzinie 20.00 oglądał wiadomości. Resztę wieczoru spędzał z moją matką w salonie, czytając albo układając pasjansa, lub ponownie udawał się do własnej pracy. Myślę, że zawsze się cieszył, gdy moją matkę odwiedzały przyjaciółki, sąsiadki, a później dorosłe dzieci. Mógł wtedy bez wyrzutów sumienia oddalić się do swoich zadań.

Taki plan dnia dotyczył też zazwyczaj sobót i niedziel. W latach 60. i 70. lekcje w szkołach odbywały się także w soboty. Gdy w niedzielę wielu naszych przyjaciół jeszcze spało, my już dawno siedzieliśmy przy śniadaniu. „Pospać” było dla nas nieznanym słowem. Odpoczynek oznaczał dla mojego ojca pracę w ogrodzie, spacer z moją matką albo wspólne wizyty w teatrze. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział go leżącego na leżaku albo wygrzewającego się w słońcu na kocu.

Skromność

Mojego ojca interesowało wiele rzeczy, ale własny wygląd nieszczerólnie go zajmował. Ubrania, które nosił, kupowała i rano przygotowywała mu moja matka. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek kupił sobie „coś szykownego” do ubrania. My, dzieci, uważaliśmy go z tego powodu za raczej staromodnego. Letnia opalenizna była dla niego bez znaczenia; gdy szliśmy razem pływać, po wyjściu z wody od razu się ubierał. Nie pociągał go sport i był w tym konsekwentny. Treningi i budowanie muskulatury uważał w najlepszym przypadku za stratę czasu.

Gdy w 1966 r. nasza rodzina miała po raz pierwszy kupić własny samochód, mój brat i ja mieliśmy jasne wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać: sportowy, z szyberdachem, metalik, opony z białymi opaskami. Bardzo się potem rozczarowaliśmy. To był mysioszary ford 17m ze standardowym wyposażeniem. Oprócz czterech drzwi nie miał żadnych dodatków. Najbardziej przeciętny samochód, jaki można sobie wyobrazić.

Rola ojca

Nie był nowoczesnym ojcem, żadnym *pater ludens*, który dostosowuje się do poziomu dzieci, zachowuje się jak kolega do zabawy, buduje zamki, maluje czy piecze. Nie, raczej widział swoją rolę tradycyjnie, bardziej na uboczu, poprzez wspólne działanie i rozmowy.

A wyjątki potwierdzają regułę. Przypominam sobie, że w wieku czterech lat otrzymałem w prezencie klocki. Siedziałem w naszym małym mieszkaniu w Wilhelmshaven na podłodze i układałem klocki, gdy nagle wydarzyło się coś niesamowitego: mój ojciec usiadł obok mnie i zaczął budować ze mną. Zostało mi to w pamięci właśnie dlatego, że było to takie wyjątkowe. Niewiele pamiętam z okresu z Wilhelmshaven (1950–1955). Zabawa w piaskownicy na podwórku i kot, czasem spacer, podczas których chodziło o zwrócenie na siebie uwagi przynajmniej jednego z rodziców. Do tego dochodziły wycieczki motorowerem. W pamięci zapadły mi duże, zniszczone bunkry w parku miejskim tego nadmorskiego miasta. Od czasu wojny nie minęło nawet 10 lat i tematy wielu rozmów dotyczyły alarmów bombowych, zaciemniania okien i wyczekiwania w bunkrach na sygnał odwołujący ostrzeżenie.

W 1955 r. przenieśliśmy się do Oldenburga. Nowe mieszkanie w Eversten, znajdujące się na pierwszym piętrze w bloku wzniesionym przez towa-

rzystwo mieszkaniowe użyteczności publicznej, miało cztery małe pokoje: sypialnię rodziców, pokoje chłopców i dziewcząt oraz pokój gościnny zarezerwowany dla naszych dziadków z Getyngi. W pokoju dziewcząt wieczorem czytano. Siedząc lub leżąc na łóżku, cała nasza czwórka wspólnie słuchała ojca, który czytał nam *Odyseję*, historię wojny z Troją, walki między Hektorem a Achillesem. Przy posiłkach i podczas podróży prowadziliśmy wiele rozmów: o Bogu i świecie, wojnie i pokoju, polityce i kulturze. Stałe powtarzającym się stwierdzeniem była wdzięczność, że możemy żyć w pokoju i demokracji. Podczas kryzysu kubańskiego w 1962 r. obawy moich rodziców także u mnie wywołały poczucie zaniepokojenia: ponowna militaryzacja Republiki Federalnej Niemiec była postrzegana jako wkład w zapewnienie pokoju. Duży szacunek dla pokoju z pewnością prowadził do tego, że w naszej rodzinie nigdy nie prowadzono politycznych dyskusji o odzyskaniu utraczonych terenów wschodnich. Spory polityczne toczyły się za to od przełomu 1967 i 1968 r. wokół tematu, czy NRD należy uznać jako samodzielne państwo, czy dalej traktować jako strefę wschodnią albo radziecką strefę okupacyjną. Jeszcze gwałtowniej dyskutowano o roli ruchu studenckiego o nazwie Opozycja Pozaparlamentarna (APO). Z mojej perspektywy było to wzbogacenie procesu podejmowania decyzji, ale w ojcu wywoływało wspomnienia o ostatniej fazie Republiki Weimarskiej. Nawet jeśli ojciec był zajęтым człowiekiem i chętnie spędzał wiele czasu przy biurku, zawsze można było z nim



1. Pięcioletni Enno i jego siostra Almuth bawią się w ogrodzie w Sandkrug, tak jak ja z rodzeństwem robiliśmy to w latach 50.

porozmawiać. Nie przypominam sobie zdania „nie mam czasu”. Poznałem je dopiero w okresie studenckim. Należało jednak szanować jego popołudniową przerwę, którą spędzał, początkowo śpiąc w fotelu, później w łóżku.

Moje przejście do gimnazjum wywołało u mnie i moich rodziców pewne otrzeźwienie, bowiem oceny nie wypadały już tak dobrze jak w podstawówce. Były jednak także dobre momenty. Przypominam sobie przede wszystkim jedno wydarzenie: w piątej lub szóstej klasie przeprowadzono test wykształcenia ogólnego, w którym pytano o znajomość malarzy, kompozytorów, poetów i myślicieli. Zostałem zwycięzcą dzięki wiedzy o kulturze, wyniesionej z rodzinnego domu. Mój ojciec z zadowoleniem przyjął ten wynik.

W domu wpojono mi nie tylko znaczenie kultury, lecz także miłość do natury, piękna i krajobrazu. Ważną rolę odgrywał ogród. Był przycinany i pielęgnowany. Dwa razy w tygodniu mój brat i ja kosiliśmy trawnik – kosiarką ręczną.

W początkowych latach obok kwietników i trawnika istniał także ogródek owocowo-warzywny. Rosły tam agrest, czerwone i czarne porzeczki, szczypiorek i sałata. Każde z nas, dzieci, zawsze otrzymywało własną grządkę, na której mogliśmy posadzić to, co nam się podobało. Tak było do 1960 r., gdy ogródek zastąpiły dobudówka i garaż.

Najciekawszym momentem mojego dzieciństwa były letnie wakacje w Sandkrug koło Oldenburga, w idyllicznie położonym domku letniskowym mojego dziadka. Z reguły rodzeństwo i ja spędzaliśmy je wyłącznie z naszym ojcem, gdyż nasza matka musiała zajmować się swoimi chorymi rodzicami. Przyjeżdżała z wizytą tylko w weekendy.

Razem z ojcem dużo spacerowaliśmy przez lasy i pola i dowiadaliśmy się przy okazji czegoś o drzewach, roślinach i zwierzętach. Prawie zawsze zbieraliśmy grzyby: borowiki, podstawczaki, krowiaki, ale żadnych muchomorów. Z czasem staliśmy się prawdziwymi ekspertami od grzybów. Wieczorem na naszą patelnię w 70 proc. trafiały krowiaki, które ojciec smacznie przyrządzał z cebulą i pieczonymi ziemniakami. Wiele lat później wyczytałem, że krowiaki są niejadalne, a starsze egzemplarze bywają nawet trujące. Nam jednak mimo wszystko smakowały.

W Sandkrug mój ojciec odgrywał wiele ról: był nie tylko kucharzem i organizatorem czasu wolnego, lecz także pielęgniarzem i wychowawcą. Leczył nasze czyraki i starał się nauczyć nas przydatnych w przyszłości umiejętności wychodzących poza wykształcenie szkolne, np. języka rosyjskiego.

Wiele czasu pozostawało na gry towarzyskie i zabawę w polowanie, podróż po Europie i Niemczech, a także państwa-miasta i remika. W gry towarzyskie graliśmy jednak nie tylko podczas tygodni spędzanych w Sandkrug, lecz także w długie wieczory, szczególnie w weekendy.

Nawet jeśli ojciec nie był typem sportowca, nie oznaczało to, że odciągał nas od fizycznej aktywności. Nie, mój brat i ja zostaliśmy zapisani nawet do Oldenburskiego Towarzystwa Gimnastycznego, którym kierował jego kolega Schmidt. Ponadto zapisał nas na kurs pływania w Huntebad, gdzie po południu przez 10 dni braliśmy lekcje pływania w zimnej wodzie rzeki Hunte (z nurtem). Przynajmniej czegoś się nauczyliśmy.

Gdy pod koniec szkoły trzeba było wybrać kierunek studiów, nasz ojciec pozostawił nam dużą wolność. Był zwolennikiem ideału wychowawczego w duchu Humboldta i reprezentował tradycyjne podejście, że studia ukończone w dziedzinie nauk społecznych są dobre dla kariery akademickiej. Możliwość rozpoczęcia kształcenia zawodowego albo studiowanie kierunków technicznych nie były traktowane poważnie, podobnie jak studia w wyższej szkole technicznej. Wybrany przeze mnie kierunek socjologii był jednak dla niego podejrzany, bowiem uchodził za krytyczny wobec społeczeństwa i inaczej niż historia, geografia czy filozofia nie był nauczany w szkole. Nawet jeśli mnie i mojemu rodzeństwu udało się skorzystać z wprowadzonego w 1971 r. kredytu studenckiego Bafög i otrzymaliśmy częściowe świadczenia, to prawie jednoczesne podjęcie studiów przez całą czwórkę dzieci stanowiło dla moich rodziców bez wątpienia znaczący finansowy ciężar. By go złagodzić, mój ojciec podjął pracę w gimnazjum wieczorowym w Oldenburgu. Nie przypominam sobie, by rodzice narzekali na to obciążenie. Jako syn kupca mój ojciec prowadził jednak listę wszystkich finansowych dotacji, które jego dzieci otrzymały w okresie studiów.

Religia i wspólnota

Nie byliśmy specjalnie wierzącą rodziną. Do kościoła chodziliśmy tylko w Boże Narodzenie. Mimo to modliliśmy się. W południe odmawialiśmy „Przyjdź Panie Jezu, bądź gościem nam. Błogosław dary, które dałeś sam”. Wieczorem modliliśmy się: „Panie Boże, uczyni mnie pobożnym, bym trafił do nieba”. Przez długi czas dodawaliśmy jeszcze: „I spraw, by wujek Karl-Ludwig wrócił do domu”. Wrócił w 1955 r. z ostatnimi powracającymi z Syberii. Modlitwa więc pomogła. Później pomagała coraz mniej. Stale modliłem się o dobre oceny szkolne, ale niestety moje modlitwy nie były wysłuchiwane.

Gdy szliśmy w święta do kościoła, ojciec zaskakiwał mnie hojnym datkiem w niesłychanej wysokości 10 marek. Jak można aż tak wiele podarować?! Ile ładnych rzeczy można było za to kupić! Ponadto składał



2. We czworo w Marburgu, 1970.
Od lewej: Friederike, Elisabeth, Martin,
Borchard

darowizny na Towarzystwo Ratujące Rozbitków i na swoje bractwo Rhenania, które było dla niego ważne. Ojciec nie miał wprawdzie żadnych przyjaciół ani kolegów, miał za to członków bractwa. Od czasu do czasu pojawiali się u nas, musieliśmy im mówić „dzień dobry” i prowadzić krótką konwersację. Ponieważ przy tego typu rozmowach zawsze pytano o oceny w szkole i zawodowe perspektywy, starałem się, by moje wypowiedzi były możliwie krótkie.

Gdy zdałem maturę, ojciec wziął mnie na stronę, by ze mną porozmawiać. Chciał mi przybliżyć Rhenanię. Spytał, czy chciałbym do niej wstąpić. Wysłuchałem spokojnie jego propozycji, a następnie wyraźnie ją odrzuciłem. Chciałem raczej zapuścić włosy i zostać hipisem albo przywódcą APO! Było zupełnie jasne, że do moich studiów socjologicznych bractwo studenckie pasowało jak pięść do nosa. Musiałem niestety rozczarować ojca. Wyznawane przez nas polityczne i kulturalne wartości w ostatnich klasach szkolnych (1967–1970) znacząco nas od siebie oddaliły.

Gdy zdałem maturę, ojciec

Tak, moje rodzeństwo i ja byliśmy dla ojca źródłem pewnego rozczarowania. Wprawdzie zdaliśmy egzaminy wstępne do gimnazjum, ale potem nasze szkolne sukcesy były raczej ograniczone. Piątki i czwórki w podstawówce zostały zastąpione przez trójki, dwójki i jedynki w gimnazjum. Profil klasyczny z greką w Starym Gimnazjum, do którego na życzenie ojca uczęszczałem, okazał się zbyt trudny. Wybrałem łatwiejszą drogę i przeszedłem do Szkoły im. grafa Antona Günthera, gimnazjum, które zaczynało się dopiero od klasy siódmej.

Ponadto konserwatywne poglądy ojca coraz bardziej raziły mnie i moje rodzeństwo. Okrężną drogą, przez Liberalny Związek Uczniowski, zbliżyliśmy się do idei Opozycji Pozaparlamentarnej. Doprowadziło to na przełomie 1968 i 1969 r. do udziału w posiedzeniu i akcji ulotkowej Socjalistycznego Niemieckiego Związku Studentów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Oldenburgu i założenia Czerwonej Komórki z siedzibą w domu wynajmowanym na Nelkenstraße. Czytaliśmy tam m.in. *Manifest komunistyczny* i dyskutowaliśmy o nim. Odrzucaliśmy konformistyczny styl życia w rodzinnym domu – z krótkimi włosami i odprasowanymi kantami spodni.



3. W ogrodzie rodziców, 1988. Od lewej: Martin, Elisabeth, matka Magdalene, ojciec Enno, Borchard, Friederike

Zamiast tego w modzie były długie włosy, dzinsy i parki. Fryzura była stałym źródłem konfliktu. Mój ojciec obstawał przy tym, żebyśmy z bratem raz w miesiącu chodzili do fryzjera.

Gdy chodziłem do szkoły, praca naukowa mojego ojca na temat Żydów i Polaków interesowała mnie w najlepszym przypadku tylko marginalnie. Kiedy w Boże Narodzenie kładł swoją najnowszą książkę na stole z darami, nie zwracałem na to uwagi. Rano, pierwszego dnia świąt, narzekając na mój brak zainteresowania, chował książkę z powrotem. To trochę bolało! Dzisiaj umiem już doceniać naukową pracę ojca, nawet jeśli poznałem tylko jej część. Jako wykładowca wiem też, że badania i nauczanie wymagają dużej dyscypliny. Imponuje mi, że obok swojej obciążającej pracy nauczyciela opublikował tak wiele i swoją wiedzę wprzągnął w polityczne procesy, takie jak polsko-niemieckie rozmowy podręcznikowe i współpraca między chrześcijanami i żydami.

Nie wiem, ile z jego dzieł przeczytała moja matka, ale zawsze interesowała się jego pracą i wspierała go w nawiązywaniu osobistych kontaktów i ich pielęgnowaniu. Dbała o to, by odwiedzali nas naukowcy, i starała się o interesujące rewizyty. Informowała nas o publicznym oddziaływaniu naszego ojca i w decydujący sposób przyczyniła się do tego, że możemy być z jego dzieła dumni.